

Marcel Proust: Pan de Guermantes. W Operze

Pewnego dnia, kiedy pan de Guermantes potrzebował jakiejś informacji w zakresie urzędu mego ojca, przedstawił mu się sam z wielkim wdziękiem. Od tego czasu, często miał okazję prosić ojca o jakąś sąsiadką przysługę; spostrzegłszy go, jak schodzi po schodach pogrążony w myślach i unikający wszelkiego spotkania, księżę, porzucając swoich masztalerzy, podchodził do ojca w dziedzińcu, poprawiał mu kołnierz u palta z usłużnością odziedziczoną po dawnych pokojowcach królewskich, brał go za rękę, zatrzymując jego dłoń w swojej, pieszcząc ją nawet, aby mu dowieść z bezwstydem kurtyzany, że mu nie żałuje kontaktu swej szacownej skóry; prowadził go jak na smyczy – bardzo znudzonego i myślącego tylko o tym, jak by się wymknąć – aż poza główną bramę.

Pałac Guermantes zaczynał się dla mnie u bramy przedsiionka, przyległości jego musiały się rozciągać o wiele dalej wedle mniemania samego księcia. Uważając wszystkich lokatorów za swoich dzierżawców, za wzbogaconych na rewolucji plebejuszów, chmyzów, których opinia jest czymś bez znaczenia, księżę golił się rano w nocnej koszuli przy oknie, schodził na dziedziniec, wedle temperatury powietrza w danym dniu, w kamizelce albo w pyjampie, we włochatej szkockiej kurtce osobliwego koloru, w kusym jasnym paltociku krótszym od marynarki, i kazał któremuś ze swoich pikierów przejeżdżać świeżo kupionego konia. Niejeden raz nawet koń uszkodził wystawę Jupienu, który, ku oburzeniu księcia, żądał odszkodowania. „Choćby tylko przez wzgląd na wszystko dobro, jakie księżna pani świadczy w domu i w parafii, żądać

czegoś od nas, to jest bezczelność ze strony tego chłystka”. Ale Jupien upierał się przy swoim, zdając się zgoła nie wiedzieć, co za „dobro” wyświadczyła komu kiedy księżna. A jednak ona było dobroczynna; ale, ponieważ nie można ogarnąć wszystkich, pamięć, że się obdarzyło jednego, staje się racją oszczędności w stosunku do drugich, ku tym większemu ich rozgoryczeniu. Z innych zresztą punktów widzenia niż dobroczynność, dzielnica ta wydawała się księciu i to na znaczną odległość — jedynie przedłużeniem jego dziedzińca, rozleglejszym manezem dla jego koni. Sprawdziwszy, jak nowy koń kłusuje sam, kazał go zaprzęgać, objeżdżać sąsiednie ulice, przy czym pikier biegł koło powozu, trzymając lejce, przeprowadzając konia przed księciem, który stał na trotuarze, olbrzymi, rosły, jasno ubrany, z cygarem w ustach, z zadartą głową, z bystrym monoklem, aż do chwili gdy sam wskakiwał na kozioł, aby jeszcze przepróbować konia i jechał nowym zaprzęgiem spotkać się ze swoją kochanką na Polach Elizejskich.

Pan de Guermantes witał się w dziedzińcu z dwiema parami, które mniej więcej należały do jego świata: z parą swoich kuzynów, których — podobnie jak się zdarza w stadłach robotników — nie było nigdy w domu dla zajęcia się dziećmi, bo od rana żona spieszyła do *Schola* doskonalić się w sztuce kontrapunktu i fugi, a mąż szedł do swojej pracowni rzeźbić w drzewie i wytłaczać w skórze; dalej z baronostwem de Norpois, którzy, zawsze ubrani czarno — żona jak kobieta wynajmująca krzesła, a mąż jak karawaniarz — wychodzili kilka razy dziennie, udając się do kościoła. Baron de Norpois był bratankiem naszego znajomego ex-ambasadora, którego właśnie ojciec spotkał w sieni, ale nie zgadując, skąd idzie; bo ojciec myślał, że osobistość tak znaczna, utrzymująca kontakt z pierwszymi figurami w Europie i przypuszczalnie bardzo obojętna na czcze arystokratyczne honory, nie ma powodu utrzymywać stosunków z tym gatunkiem klerykalnych i ograniczonych szlachciurów. Mieszkali w tym domu od niedawna;

Jupien podszedł właśnie, aby coś powiedzieć baronowi, który się kłaniał panu de Guermantes, przy czym, nie znając dokładnie jego nazwiska, Jupien nazwał go „panem Norpois”.

— Ha! ha! pan Norpois, a to doprawdy kapitalne! Cierpliwości, niedługo nazwie pana obywatelem Norpois! — wykrzyknął, zwracając się do barona, pan de Guermantes. Mógł wreszcie wyładować swoją złość na Jupiena, który tytułował go „pan”, a nie „książę pan”.

Pewnego dnia, kiedy pan de Guermantes potrzebował jakiejś informacji w zakresie urzędu mego ojca, przedstawił mu się sam z wielkim wdziękiem. Od tego czasu, często miał okazję prosić ojca o jakąś sąsiedzką przysługę; spostrzegłszy go, jak schodzi po schodach pogrążony w myślach i unikający wszelkiego spotkania, ksiązę, porzucając swoich masztalerzy, podchodził do ojca w dziedzińcu, poprawiał mu kołnierz u palta z usługą odziedziczoną po dawnych pokojowcach królewskich, brał go za rękę, zatrzymując jego dłoń w swojej, pieszcząc ją nawet, aby mu dowieść z bezwstydem kurtyzany, że mu nie żałuje kontaktu swej szacownej skóry; prowadził go jak na smyczy — bardzo znudzonego i myślącego tylko o tym, jak by się wymknąć — aż poza główną bramę.

Pewnego dnia, mijając nas powozem wraz z żoną, ksiązę skłonił się nam głęboko; musiał jej powiedzieć moje nazwisko, ale jakąż mogłem mieć nadzieję, aby ona zapamiętała to nazwisko, wraz z moją twarzą? A przy tym, cóż za mizerna rekomendacja, być jej wskazanym jedynie jako jeden z lokatorów! Ważniejsze byłoby spotkać księżnę u pani de Villeparisis, która właśnie poprosiła mnie przez babkę, abym ją odwiedził, wiedząc zaś, że mam zamiar poświęcić się literaturze,

dodała, że spotkałbym u niej paru pisarzy. Ale ojciec uważał, że jestem jeszcze za młody, aby bywać w świecie; że zaś stan mego zdrowia wciąż go niepokoił, nie chciał mi dostarczać zbyt częstych okazji do wychodzenia wieczorem.

Ponieważ jeden z lokajów pani de Guermantes często rozmawiał z Franciszką, dosłyszałem, jak wymienia kilka salonów, gdzie księżna bywała, ale nie wyobrażałem ich sobie; z chwilą gdy były częścią jej życia — życia, które widziałem jedynie poprzez jej nazwisko, czyż nie były czymś niepojętym?

— Jest dzisiaj wielki wieczór z chińskimi cieniami u księżnej Parmy — mówił lokaj — ale nie będziemy, bo dziś o piątej pani jedzie do Chantilly, spędzić dwa dni u księcia d'Aumale. Pokojówka i kamerdyner jadą z nią. Ja zostaję. Księżnej Parmy będzie bardzo przykro; więcej niż cztery razy pisała do naszej pani.

— Więc wy nie jedziecie tego lata do Guermantes?

— Pierwszy raz nas tam nie będzie; z przyczyny reumatyzmów księcia pana, doktor zabronił mu tam wracać, zanim się urządzi kaloryfery; dawniej siadywało się tam aż do stycznia. Jeżeli kaloryfer nie będzie gotów, może nasza pani pojedzie do Cannes do księżnej de Guise, ale to jeszcze niepewne.

— A do teatru chodzicie?

— Chodzimy czasem do Opery, czasem w dniu abonamentu księżnej Parmy, to wypada co tydzień; zdaje się, że to bardzo szykowne, co tam pokazują: sztuczki, opera, wszystko. Nasza księżna nie wzięła abonamentu, ale bywamy i tak, raz u jednej przyjaciółki naszej pani, inszy raz u drugiej, często na parterze w łoży księżnej Marii, też Guermantes, zamężnej za kuzynem naszego księcia. To jest siostra księcia Bawarskiego... Więc pani wraca do siebie — mówił lokaj, który, mimo iż utożsamiając się z Guermantami, miał wszelako o *państwie* w ogólności informacje dyplomatyczne, pozwalające mu traktować Franciszkę z takim szacunkiem, co gdyby służyła u jakich książąt. — Pani Franciszka ma dobre zdrowie.

— Ha! ha! gdyby nie te przeklęte nogi! Na dworze, to jeszcze jakoś idzie — (dworzem nazywał się dziedziniec, także ulice, gdzie Franciszka dość lubiła się przechadzać, słowem, równy teren) — ale te przeklęte schodziska! Do widzenia panu, da się pan widzieć może jeszcze wieczór.

Franciszka pragnęła jeszcze rozmawiać z lokajem, zwłaszcza że ją pouczył, iż synowie diuków noszą często tytuł *prince*, który zachowują aż do śmierci ojca. Niewątpliwie, kult szlachty, skojarzony z pewnym duchem buntu i godzący się z nim zresztą, dziedziczny, wyspany z gleby Francji, musi być bardzo silny wśród ludu. Można było mówić Franciszce o geniuszu Napoleona lub o telegrafie bez drutu, przy czym zaledwie że słuchała z roztargnieniem i nie przerywała ani na chwilę czynności wybierania popiołu z kominka lub nakrywania do stołu; ale skoro tylko ktoś zszedł na te właściwości, np. że młodszy syn diuka de Guermantes nazywa się zazwyczaj książe d'Oleron, wykrzykiwała: „To bardzo piękne!” i stawała olśniona niby przed witrażem.

Franciszka dowiedziała się też przez kamerdynera księcia d'Agrigente (który to kamerdyner zaprzyjaźnił się z nią, nosząc często listy do księżnej), że w istocie wiele się mówi w świecie o małżeństwie margrabiego do Saint-Loup z panną d'Ambresac i że to jest prawie postanowione.

[...]

W chwili gdy, korzystając z ojcowskiego biletu, wstępowałem po wielkich schodach Opery, spostrzegłem przed sobą człowieka, którego wziąłem zrazu za pana de Charlus. W istocie miał coś z niego; kiedy obrócił głowę, aby poprosić urzędnika o jakąś informację, ujrzałem, że się omylił; ale nie wahałem się pomieścić nieznanego w tej samej klasie społecznej, nie tylko ze sposobu ubrania, ale i ze sposobu, w jaki mówił do kontrolera i do przetrzymujących go bileterek. Bo, poza właściwościami indywidualnymi, była jeszcze w owej epoce bardzo wyraźna różnica między bogatym elegantem z tych kół arystokracji a wszelkim bogatym elegantem ze świata finansów lub wielkiego przemysłu. Tam gdzie jeden z tych ostatnich uważałby, że podkreśla swoją elegancję ostrym i wyniosłym tonem wobec niższych, wielki pan, łagodny, uśmiechnięty, robił wrażenie, że przywilej dobrego wychowania mieści w komedii pokory i cierpliwości, w udaniu, że jest po prostu pierwszym lepszym z widzów. Widząc tego wielkiego pana, pokrywającego dobrodusznym uśmiechem nieprzebyty próg specjalnego świata, jaki nosił w sobie, niejeden syn bogatego bankiera, wchodząc w tej chwili do teatru, wziąłby go może za byle kogo, gdyby w nim nie dojrzał zdumiewającego podobieństwa do świeżo w ilustrowanych pismach reprodukowanego portretu bratanka cesarza austriackiego, księcia saskiego, właśnie bawiącego w tej chwili w

Paryżu. Wiedziałem, że ów książę jest wielkim przyjacielem Guermantów. Zbliżywszy się do kontrolera, usłyszałem, jak książę saski (lub ten, którego zań brałem) powiada z uśmiechem: „nie wiem numeru łoży, kuzynka mówiła mi, żebym po prostu spytał o jej łożę”.

Może to był książę saski; może to księżnę de Guermantes (którą w takim razie mógłbym ujrzeć w momencie jej niepojętego życia w parterowej łoży kuzynki) oczy jego widziały w myśli, kiedy mówił: „kuzynka mówiła mi, żebym się tylko spytał o jej łożę”, tak że to uśmiechnięte i odrębne spojrzenie oraz te proste słowa głąaskały mi serce na przemian mackami możliwego szczęścia i niepewnego uroku o wiele bardziej, niżby to zrobiło oderwane marzenie. W każdym razie, wymawiając te słowa, nieznajomy otwierał pospolitemu wieczorowi mego codziennego życia możliwe przejście do nowego świata; korytarzyk, który mu wskazano na słowa „parterowa łoża” i w który się zapuścił, był wilgotny i odrapany i zdawał się prowadzić do jakichś morskich erot, do mitologicznego królestwa nimf wodnych. Miałem przed sobą tylko pana we fraku, który się oddalał; ale puściłem nań niby niezręcznym i błędzącym reflektorem myśl, że to jest książę saski i że idzie do księżnej de Guermantes. I mimo że był sam, ta myśl będąca czymś poza nim, niepochwytne, olbrzymia i przerywana na kształt projekcji, zdawała się go poprzedzać i prowadzić niby bóstwo towarzyszące greckiemu wojownikowi, niewidzialne dla reszty ludzi.

Udałem się na swoje miejsce, starając się odnaleźć w myśli jakiś wiersz *Fedry*, którego sobie dokładnie nie przypominał. Tak jak go sobie recytowałem, wiersz nie miał dostatecznej ilości stóp; ale ponieważ nie próbowałem ich policzyć, zdawało mi się, że nie ma żadnej wspólnej miary między jego nieforemnością a klasycznym wierszem. Nie dziwiłbym się, gdyby trzeba było odjąć więcej niż sześć sylab od tego

monstrualnego zdania, aby z niego uczynić wiersz dwunastostopowy. Ale nagle przypomniałem go sobie: nieubłagane kanty nieludzkiego świata znikły jakby czarami, sylaby wypełniły natychmiast miarę aleksandrynu, to, co w nim było zbyt ciężkie, ulotniło się swobodnie i łatwo, niby bańka powietrza pękająca na powierzchni wody. I w istocie, ta potworność, z którą walczyłem, to była tylko jedna stopa.

Pewną liczbę foteli parterowych oddano do sprzedaży w kasie; zakupili je snobi lub ciekawscy, żądni oglądać ludzi, których inaczej nie mieliby sposobności widzieć z bliska. I w istocie, trochę z ich prawdziwego życia światowego, zazwyczaj ukrytego, można było oglądać publicznie, bo księżna Parmy sama rozdała między swoich przyjaciół łóżka i balkony, tak iż widownia była niby salon, gdzie każdy krążył, przysiadając się to tu to tam koło jakiejś znajomej damy.

Obok mnie siedzieli zwykli ludzie, którzy, nie znając abonujących łóżek, chcieli okazać, że ich poznają i wymieniali ich głośno. Dodawali, że ci wybrańcy przychodzą tu jak do salonu; chcieli przez to powiedzieć, że nie zwracają uwagi na scenę. Ale właśnie było przeciwnie. Genialny student, który kupił fotel chcąc ujrzeć Bermę, myśli tylko o tym, żeby nie powalać rękawiczek, nie zawadzać, zyskać sympatię przygodnego sąsiada, ścigać uśmiechem jakieś przelotne spojrzenie, unikać z niegrzeczną miną wzroku znajomej osoby, którą odkrył w sali i którą po tysiącnych wahaniach decyduje się odwiedzić, w chwili gdy trzy uderzenia, rozlegające się zanim tam dotarł, zmuszają go do ucieczki niby Hebrajczyków przez Morze Czerwone między wzburzonymi falami widzów, których poruszył z miejsca i którym drze suknie lub depce po nogach. Wręcz przeciwnie ludzie światowi: ci byli w swoich łóżkach za balkonem jak w małych wiszących salonikach, z których jedną ścianę usunięto, lub jak w kawiarni, dokąd gość zachodzi napić się czegoś,

nieoniesmielony lustrami w złotych ramach ani czerwonymi krzesłami lokalu w stylu neapolitańskim; i dlatego że wspierali się obojętną ręką o złoczone słupy kolumn podtrzymujących tę świątynię sztuki, dlatego że nie byli wzruszeni nadmiernymi honorami, jakie zdawały się im oddawać dwie rzeźbione figury, wyciągające ku łóżom gałęzie palm i laurów, oni jedni mieliby swobodę ducha na słuchanie sztuki — gdyby tylko mieli inteligencję po temu.

Najpierw były tylko mgliste ciemności, w których spotykało się nagle, niby błysk niewidocznego drogiego kamienia, fosforescencję pary sławnych oczu, lub — niby medalion Henryka IV odcinający się na czarnym tle — wydatny profil księcia d'Aumale, do którego niewidzialna dama krzyczała: „Niech Wasza Wysokość pozwoli sobie zdjąć palto”, na co książę odpowiadał: „Ale nie, cóż znowu, pani d'Ambresac”. Mimo słabej obrony, dama postawiła na swoim, i wszyscy zazdrościli jej tego honoru.

Marcel Proust, *Strona Guermantes* w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego